Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 27. Listopada 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 48.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

Mówił długo o majątku swym Żyrewiczach, o dobrych i złych jego stronach, wykazywał przecięciowe cyfry rocznych intrat, długi majątek obarczające, wielkie zyski mogące być otrzymanemi, z wycięcia lasu i rozparcelowania awulsów; trudności, jakie spotyka w wykonaniu tych świetnych planów, mówił jeszcze o wielu, wielu innych szczegółach przedmiotu, plątał się czasem i jąkał trochę, czasem widać było po nim, że przebywał dość ciężką chwilę życia, a gdy mówić skończył, ogólny wynik długiej mowy jego okazał się taki: że los jego, cała jego przyszłość spoczywa w ręku pani prezydentowej. Jeżeli pani prezydentowa pożyczy mu te 2,500 rubli, które ma jeszcze u siebie w bankowych biletach, zostanie uratowanym, spłaci ten dług, który przeszkadza mu do sprzedania lasu i rozparcelowania awulsów i najdalej za dwa... trzy miesiące i sumę i procenta wszystkie zwróci. Jeżeli pani prezydentowa nie zechce tego uczynić, poprostu zginie i będzie musiał Żyrewicze sprzedać temu samemu Bucikowiczowi, ex-ekonomowi Pompalińskich, który nabył od Drewnickich Rudziszki.

Był to wynik rozmowy nadzwyczaj niespodziewany, tak niespodziewany, że wszystkim trzem kobietom, nie wyłączając pani prezydentowej, oczy z razu w słup stanęły i na minut parę głębokie w pokoju zapanowało milczenie. Po paru minutach p. Emma pierwsza do Rozalji szepnęła:

— Jak mi teraz boleśnie, że już więcej kapitału nie mam!... Gdybym miała, dałabym mu go zaraz... ja jemu święcie wierzę... biedny ten Stasieczek!...

— Tak, tak! ale... mamie na zimę ciepłych bucików i futerko odnowić trzeba! — wahając się odszepnęła Rozalia.

Teraz, Łopotnicka głos zabrała.

— Nie spodziewałam się — zaczęła — nie spodziewałam się... i tak raptem zdecydować się nie mogę. Nie odmawiam... ale i nie przyrzekam... i proszę pana Stanisława, żeby mi dał czas do namysłu... do jutra rana... Jutro rano... niech pan będzie łaskaw, odwiedzi nas znowu to, to, to...

Wargi jej zwarły się tak, że zniknęły prawie pomiędzy nosem a brodą; siwe oczy migotały niespokojnie.

Stanisław wstał znowu, wszystkie trzy panie z kolei w rękę pocałował i usiadłszy, starał się nawiązać rozmowę przerwaną odezwaniem się Rozalji. Nie szło to już jednak i w kwadrans potem, nie było go już w mieszkaniu Łopotnickiej.

Cały ten dzień, Łopotnicka przesiedziała w fotelu swoim, kamiennie nieruchoma i milcząca. Z głową opartą o poręcz fotelu, z otwartemi nieco od głębokiej zadumy usty, patrzyła w sufit i nerwowym ruchem palców, mięła brzegi swego szalu. Wzdychała czasem i stękała albo mruczała coś niewyraźnego, chwilami wyraz ciężkiej walki wybijał się na suche, ostre, delikatną żółtawą skórą obleczone jej rysy. Przez cały czas ten, Rozalja siedziała na niskim swym stołeczku, pod oknem i widząc, że matka nie zwraca na nią uwagi żadnej, od chwili do chwili z cicha popłakiwała. Dnia tego, Staś tak ładnie wyglądał i taki był chwilami smutny jakiś i ona sama taką mu wyrządziła przykrość, że serce jej ściskało się boleśnie, różne tęskne wspomnienia i myśli przychodziły do głowy. Szczęśliwa Brygida, myślała, że w niej kocha się taki choćby człowiek jak ten... o! kochać i być kochaną! Ciekawam też z kim się Staś ożeni! Pewnie z jaką młodą i ładną panną. A gdzież moja młodość podziała się? i ja byłam niebrzydka... starało się o mnie kilku... a co mi z tego? ot... zmarniałam!...

Paciorkowa profitka wypadła z palców jej na ziemię, brzęk jej przerwał zadumę pani prezydentowej. Wyprostowała się, na twarz jej wrócił zwykły wyraz stanowczości.

— Róziu — ozwała się — wiesz gdzie notarjusz... ten, Ickiewicz mieszka?

— Wiem, mamo, raźnie już i wesołym głosem odpowiedziała.

— Ubierz-że się jak wypada, idź do tego Ickiewicza i powiedz mu, aby tu jutro z księgą swoją przyszedł... Zapłacę mu za fatygę a sama pewnie do niego nie pójdę. Powiedz mu, że będzie oblig pisał, dla mnie od pana Stanisława.

— To mama pożyczy Stasiowi?...

Z trudnością jeszcze pewną stara odpowiedziała:

— Pożyczę.

A kiedy Rozalja zbierając się do wyjścia kładła na głowę czarny, skromny kapelusik, przywołała ją do siebie gestem głowy.

— Widzisz — zaczęła — nie mogę zrobić inaczej, nie powinnam. Jesteś dorosłą i masz prawo wiedzieć, dla czego matka twoja postępuje tak, a nie inaczej; chcę zresztą, aby ci to było przykładem. Staś jest obywatelskiem dzieckiem, krewnym moim, opuścić go w potrzebie, byłoby dla mnie i boleśnie i z grzechem. Spokojniejszą byłabym gdybym te pieniądze u siebie w szkatułce miała, myślę jednak, że taki honorowy człowiek i takiego

pieknego świata, dwóch kobiet nie skrzywdzi z pewnością. A gdybym odmówiła mu i gdyby on przez to zginął sam i Żyrewicze komu z motłochu oddał...

— O, mamciu! niech mamcia pożyczy! — wykrzyknęła Rozalja.

Łopotnicka z niezwykłą u niej czułością położyła dłoń na głowie córki.

— Jesteś prawdziwie mojem dzieckiem, z lekkiem rozrzewnieniem wyrzekła. Czujesz i myślisz tak, jak ja. To dobrze. Pamiętaj, żeby tak było zawsze, i po mojej śmierci nawet. Pamiętaj, że powinniśmy zawsze podtrzymywać jedni drugich, pomagać sobie nawzajem i lepiej wiele przecierpieć niż... to... to... to... pomocy tej odmówić. Tak tylko postępując obronimy się od motłochu, który nas ze wszystkich stron napastuje i przyjdzie jeszcze do tego, że przeklęte chłopy te, żydy, cygany, mieszczany i ekonomy zrozumieją dobrze, że co my... to... to... to... nie oni!

Siwe oko jej błysnęło, wysokie czoło, pod pasami srebrnych włosów, zapłonęło bladym rumieńcem zapału, głowę podniosła dumnie i z uśmiechem na ustach patrzyła w przestrzeń, niby w przyszłość tę, mającą przynieść zwycięztwo i tryumf tym, których kochała. Potem, rozrzewniona, w obie dłonie ujęła twarz córki całując ją w czoło — rzekła:

— Idź! idź po notarjusza! Nie umarłabym spokojnie, gdybym myślała, że mogłam dopomódz w czemkolwiek jednemu z nich, a nie uczyniłam tego!

Brygida nie została wtajemniczoną w żadne sprawy dnia tego i nie domyślała się ich w stopniu najmniejszym. Od rana znać było po niej, że niezwykle była wzruszoną i niespokojną, siekając kotlet dla matki uśmiechała się, to wzdychała naprzemian, przy obiedzie przełknęła zaledwie parę kąsków pożywienia i wnet po sprzątnięciu naczyń i uporządkowaniu mieszkania, zarzuciwszy według zwyczaju swego chustkę na głowę, do miasta wybiegła. Udała się naprzód do sklepu, w którym sprzedawano woskowe świece, przeznaczone do oświetlania ołtarzów kościelnych. Kupiła dwie najmniejsze, bo parę tylko złotych wzięła z sobą z szuflady matczynej, następnie zaopatrzyła się w kilka łokci kolorowej wstążeczki i parę lichych, sztucznych kwiatów, tem wszystkiem bardzo starannie i z wielką powagą świece przystroiwszy, poniosła je do kościoła, w którym właśnie, sobotnie nieszpory zacząć się miały. Weszła do zakrystji i pobożną ofiarę swą zakrystjanowi podała.

— Przed ołtarz św. Józefa Oblubieńca... — poprosiła.

Wąsaty zakrystjan spojrzał na hebanowej czarności warkocze, które oplatając jej głowę ukazywały się z pod chustki, na piękne, gorącym blaskiem płonące jej oczy i żartobliwie zapytał:

— Na jakąż to intencję panna świece te ofiarujesz?

— Ażeby Pan Bóg odmienił usposobienie pewnej osoby — odpowiedziała.

Przez całe nieszpory modliła się z kurczowo splecionemi dłońmi i wzrokiem błagalnie utkwionym w wymalowaną na obrazie twarz św. Józefa Oblubieńca; a wychodząc z kościoła, babom żebraczkom siedzącym w kruchcie dała po parę groszy, prosząc, aby pomodliły się o szczęśliwą zmianę usposobienia pewnej osoby. Kiedy wracała do domu, na dziedzińcu dogoniła ją wracająca też od notarjusza Rozalja.

— Zkąd idziesz, Bryniu?

— Z kościoła, z nieszporów...

Stanęły obie przy progn mieszkania Łopotnickiej.

— Cóż? — ciekawie pytała Rozalja; nie rozmówiłaś się jeszcze z matką?

— Nie jeszcze; ale dziś pomówię z pewnością... postanowiłam i zresztą, czasu już nie ma! On jutro wyjeżdża, skończył już robotę i śpieszy się do drugiej. Na intencją szczęśliwego skutku mojej rozmowy z matką, zaniosłam św. Józefowi dwie świece...

— To dobrze! to dobrze! znam sama jedną panią, której rodzice nie pozwalali wyjść za lubego... odmówiła koronkę do św. Józefa, króry tak zmiękczył im serca, że pozwolili. Ale wiesz Bryniu...

Zatrzymała się.

— Cóż? — zapytała Brygida.

— Ot tak! patrząc na ciebie, nie przypuściłabym nigdy, żebyś tak bała się matki. Taka jesteś prędka i śmiała... i nie bardzo... jak tu powiedzieć? nie bardzo kochacie się!

W zamyśleniu, z oczami w ziemię wlepionemi, odpowiedziała:

— Zawsze to matka!... ojciec ją bardzo kochał i umierając powiedział do mnie: bądź dobra dla matki!...

— No, niech Bóg dopomoże... do widzenia!

Rozalja chciała odejść, ale Brygida zatrzymała ją za rękaw okrycia.

— Powiedz mi, co to znaczy... Śniło mi się dziś, że w podróż wyjeżdżałam i bardzo cieszyłam się z tego... *on* był zemną i pomagał mi rzeczy pakować, a ja matki szukałam, żeby z nią pożegnać się i nigdzie jej znaleść nie mogłam...

— Podróż — z zastanowieniem i namysłem zaczęła Rozalja — w podróż wybierać się.. znaczy, spełnienie zamiarów na dalsze czasy odłożyć... ale znowu, rzeczy pakować, to niby zabawa jakaś, liczne towarzystwo, przyjemne przepędzenie czasu.

Brygida ręką niecierpliwie skinęła.

— At! — sarknęła — zabawy, towarzystwa! po co mi to! Myślałam, że mi co lepszego wywróżysz...

— Z duszy i serca chciałabym, ale cóż ja zrobię, kiedy tak w senniku pisze! Zresztą, sen mara, Bóg wiara. Mama gniewa się na mnie zawsze za to, że troszeczkę w sny wierzę... Do widzenia!

Rozeszły się.

Brygida, zapaliwszy lampkę, wnet utkwiła w twarzy matki wzrok niespokojny i badawczy. Czułości we wzroku tym nie było żadnej, ale niepokój, który mącił w tej chwili śmiałe te zawsze, ogniste oczy, zdawał się mówić: »zawsze to matka!«

Żyrewiczowa wzięła z komody starą talię kart i usiadłszy na kanapce, zaczęła je do passjansa wybierać i układać. Brygida, wyjęła też z kosza sztukę bielizny, która cerowania i naprawiania potrzebowała, ale wnet spuściła ją na kolana i znowu wpatrzyła się w matkę. Wyraz twarzy p. Emmy nie miał w sobie nic groźnego. Łagodna jak zwykle, wieczoru tego, zdawała się jeszcze być zadowoloną czemś i trochę rozmarzoną. Z pudełka stojącego na stole, wyjęła różowy cukierek i podniosłszy go do ust, pudełko ku córce posunęła.

— Widzisz, Bryniu — żartobliwie wyrzekła — mnie jeszcze kawalerowie cukierki przynoszą. To od Stasia...

Nie wiadomo czy Brygida słowa te słyszała lub przynajmniej czy je zrozumiała. Z rumieńcem na twarzy wstała z krzesła i trochę ręką opierając się o stół, stłumionym od wzruszenia głosem, zaczęła:

— Moja mamo! chcę mamy prosić o zgodzenie się i błogosławieństwo. Mam starającego się, którego szczerze pokochałam i który mię kocha i jeżeli mama pozwoli, natychmiast zawołam go i przyprowadzę tutaj...

Żyrewiczowa drgnęła i aż podskoczyła na kanapce. Z osłupiałemi oczami, w córkę utkwionemi wołać zaczęła:

— Ty, ty Bryniu, masz starającego! co? kto? jakto? ależ u nas nikt nie bywa! ależby to była prawdziwa łaska boska, gdybyś ty, ty, partją zrobić mogła! Któż to taki! mówże, mów prędzej!..

Brygida nie zaraz odpowiedziała. Mocowała się ze wzruszeniem swem dopóty, dopóki nie odzyskała całej siły i śmiałości. Po chwili, głosem przytłumionym i łagodnym, ale zupełnie już pewnym, rzekła:

— Moja mamo, nie jest to nikt taki, któryby u mamy bywać mógł, bo mama niektórych tylko ludzi życzy sobie znać i przyjmować... Poznaliśmy się z sobą, cztery miesiące temu, tu, na tym dziedzińcu... on pierwszy przemówił do mnie, potem, rozmawialiśmy z sobą często i długo i pokochaliśmy się...

— Ależ któż to taki? powiedz że nakoniec, bo coś niedobrego przeczuwam...

— Jest to, moja mamo, Kaźmierz Sośnina, majster mularski z Młynowa... ten sam, który tę kamienicę dla Rolickiego...

Nie dokończyła, bo p. Emma, zerwała się z kanapki i obu rękami pochwyciła ją za ramię.

— Bryniu! co tobie jest! — krzyczeć zaczęła — zwarjowałaś, moje dziecko! Bryniu! Bryniu! upamiętaj się! przyjdź do przytomności! dziecko moje! bo po doktora polecę!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DUSZA

SZKIC ETNOGRAFICZNY.

PODŁUG GRUBE'GO

Nie ma takiego pod słońcem narodu, stojącego choćby na najniższym szczeblu rozwoju umysłowego, któryby nie umiał rozróżnić duszy od ciała.

Zdaje się nawet, że łatwiej człowiekowi

przedstawić sobie duszę, która jako niewidzialne powietrze jego przenika ciało, gości w niem czas niejaki i opuszcza je na zawsze, zrzuciwszy z siebie ziemską powłokę jak motyl z brzydkiej wylatujący poczwarki.

Wyobraźnia ludów zamieszkujących ziemię, utworzyła sobie odrębne, a nader ciekawe, o duszy pojęcia, o jej życiu pozagrobowem i ubrała ją w szaty zmysłowe w onej chwili, kiedy z ostatniem człowieka tchnieniem, ulatuje w świat inny. Eskimosi, robią w swych nędznych chatach osobny otwór, przez który wynoszą nieboszczyka, aby dusza więcej nie wróciła.

W niektórych państwach murzyńskich Afryki zachodniej, zostawia syn chatę zmarłego ojca nietkniętą, gdyż tam mieszka jeszcze dusza jego. W Calabarze opuszcza dusza pomieszkanie w dwa lata po śmierci nieboszczyka, na wybrzeżu Congo zaś, nie można nawet przez dłuższy czas chaty zamiatać, aby nie zbrukać bieluchnej szaty duszyczki.

U wszystkich jednak narodów jest to mniemanie, że dusza z ostatniem tchnieniem ulatuje w niezmierną przestrzeń powietrzną.

U Słowian i w niektórych okolicach Niemiec jest zwyczaj otwierania okienka, aby niem dusza wywędrowała. Arabska legenda opowiada, że dusza Mojżesza uszła przez nos do nieba w onej chwili, kiedy ten znakomity prawodawca rajskie powąchał jabłko.

Podług mniemania starosłowiańskiego, miała dusza krążyć około ciała tak długo, dopóki go na wieczny nie złożono spoczynek, a islamizm wyprawia dusze swych męczenników w postaci zielonych ptaków nad źródła rajskie.

Murzyni na wyspie Haiti wierzą, że dusza lata często jako biały motyl, dotykając skrzydełkami ust osób za życia sercu najbliższych, z któremi żal jej było się rozstać.

Paniczny strach ogarnia mieszkańców, jeżeli motyl albo ćma spali się u lampy, gdyż ten wypadek niezawodnym jest znakiem, że dusza zmarłego zabierze pewnie z sobą jednego z członków rodziny. Natomiast niepogoda trwająca w czasie żałoby osieroconych jest oznaką, że samo niebo nawet opłakuje śmierć tej lub owej osoby.

Jest to więc zaszczyt nie mały!

Bóg śmierci u Indów zowie się *Jama*, który wywołuje duszę z ciała i odbywa z nią w piekle sąd nadzwyczaj ostry. Bohaterski poemat Mahabharata przedstawia go w czerwoną odzianego suknię, ziejącego ogniem, z czarnożółtem obliczem i czerwonemi oczyma. W takiej nie bardzo powabnej postaci, pojawia się u łoża konającego śmiertelnika i porywa duszę na powróz trzymany w ręku.

Jego połowica Saistri apeluje do wspaniałomyślności bożka, czułych używając przedstawień, ale nieubłagany pan życia i śmierci zabiera duszę Inda, powołując ją na sąd do piekła.

W Macassarze naciera kapłan konającemu średni palec, którym uchodzi duszyczka.

Synowie niebieskiego państwa, owi okrzyczani materjaliści, u których pieniądz jest bogiem, nie troszczący się wiele o życie pozagrobowe, starają się w niebezpiecznej chorobie skłonić duszę ustawiczną prośbą do pozostania w ciele. Gdy to jednak nie pomaga, uciekają się do gróźb i łajań, byle tylko ocalić chorego od śmierci. A ponieważ ujście duszy jest nieznanem, zbiera się więcej osób, które za nią biegną. Pomiędzy niemi jest taki szczęśliwy śmiertelnik, który odkrywa ślady uciekającej duszy, woła na innych, aby mu w pomoc przybyli.

Ponieważ ucieczka duszy odbywa się najczęściej w nocy, zapalają tedy latarnie, aby jej oświetlić drogę i ułatwić powrót do ciała. Jeżeli jednak to wszystko nie pomaga, a chory się zbliża do kresu doczesnej pielgrzymki, robią obecni ogromny hałas, otwierają ramiona, aby zamknąć drogę uciekającej duszycce

Śmierć kończy tę całą komedję.

Burjaci mniemają, że są złe duchy, które porywają duszę człowiekowi i zaprowadzają onę do państwa swojego przełożonego, *Szatana*. Tam wiążą ją sznurami, wrzucają do więzienia, z którego uwalnia ją złożona ofiara na przebłaganie złych duchów. Często się zdarza, że ofiary wracają zdrowie choremu, jeżeli zaś ich nikt nie składa, musi chory bezwzględnie pożegnać padoł płaczu.

Horda Tunguzów*) przedstawia sobie świat podziemny zupełnie jak starożytni Grecy wewnątrz ziemi, oświetlony światłem słońca i księżyca. Do tego to raju wędrują dusze po odprawieniu ceremonii pogrzebowych przez Szamanów.

Życie rajskie nie różni się niczem od życia ziemskiego, gdyż zmarli tym samym oddają się zajęciom co na ziemi.

Nie mają jednak piekła, na ogólny oddanego użytek, ale każdy zmarły ma swoje własne piekło w więzieniu ciemnem, wilgotnem, przepełnionem wężami.

Losem Eskimosa kieruje *Alna*, wszechwiedząca i wszechwładna niebieska macierz, mająca nieograniczoną władzę nad wielorybami, morskimi psami i wszelkiego rodzaju dziczyzną. Ona to sądzi duszę zmarłego *Iszomę* i stosownie do zasługi, karze lub nagradza duszę.

I jak polegli Germanie, oddawali się najprzyjemniejszym rozrywkom w Walhali, taki sam czeka los tych Eskimosów, którzy polowanie na białe niedźwiedzie, psy morskie albo foki, przypłacili życiem. Mają więc tam dostatnio wielorybiego tłuszczu i wszystkiego, czego tylko zapragnie dusza Eskimosa. A ponieważ wieloryby, psy morskie, niedźwiedzie i foki najważniejszemi są dla Eskimosa zwierzętami, przeto i one wędrują zaraz po swej śmierci do raju, wracają jednak napowrót młodo na ziemię. Przed przybyciem chrześcijańskich missjonarzy do Tahiti, wierzyli mieszkańcy nie tylko w ustawiczne życie świń, ale mniemali, że rośliny, a szczególnie kwiaty, mają także duszę. Mieszkańcy Fidschi wierzyli w nieśmiertelność całej natury, a na dnie jakiejś studni pokazywali Europejczykom dusze mężczyzn, kobiet, roślin, kamieni, kijów, zwierząt a nawet domów.

W raju Patagończyków żyją strusie i ludzie nader spokojnie, a podług mniemania Samojedów, żyje mamut u Czudów, pierwotnych tego kraju mieszkańców. Żyje on w podziemnych chodnikach, szukając pożywienia. Ktokolwiek znajdzie kości mamuta, niechaj będzie pewien, że tajemniczy podziemia mieszkaniec, zabierze go do siebie, jeżeli mu tylko nie złoży ofiary błagalnej.

Senegalczyk przypisuje duszę palmie kokosowej, onemu wspaniałemu drzewu, któremu swoje zawdzięcza istnienie i oddaje mu cześć należytą.

Negrowie zaś twierdzą, że palma kokosowa, każde źródełko, krzepiące świeżą wodą spalone podróżnych usta, ma dobrego ducha, a zniszczenie palmy kokosowej, uważa za zbrodnię wielką — zbrodnię zabicia matki, gdyż drzewo to żywi człowieka, jak matka swoją dziecinę. Samojedzi i Ostjacy mówią o niedźwiedziu jako o możnym władcy, z którym bardzo łatwo zawikłać się w wojnę i zawsze wypada z nim żyć w zgodzie.

Jego welnista szuba, jest tylko pokrywą wielkiego ducha, to też schlebiają mu nazywając go „dziaduniem,“ a przepraszają wielekroć, jeżeli muszą go poczęstować strzałą, albo kulką.

Arabowie mają nader wielkie dla lwa uszanowanie.

W Afryce i Azji nazywają lwa mężnym; w południowym Hindostanie myślą, że tygrys jest przeistoczoną duszą dziadka albo pradziadka i nazywają go „stryjaszkiem“, chociaż pan stryjaszek, nie czuje zbyt wielkiego do nich sentymentu, i nie bardzo jest litościwy.

W Afryce wschodniej uważają Murzyni hyenę za swego ojca i nie wolno jej pod żadnym zabijać warunkiem.

Pewnego razu zabił jakiś cudzoziemiec hyenę. Musiano wielkie stypy wyprawić, aby przebłagać duszę nieboszczki. Indowie, u których kastowość wielce się rozwinęła, przypisują roślinom i zwierzętom niższy stopień życia duchowego.

I jak za życia za największą poczytują karę, dostanie się z kasty wyższej do niższej, tak też musi dusza zmarłego przechodzić za pokutę w ciała zwierzęce.

Tylko dusze braminów łączą się natychmiast po śmierci z duchem Brahmy, i są uwolnione od wędrówki w inne ciała.

Dziwna, że murzyni australscy, wierzą także w wędrówki dusz. Ci, którzy się zetknęli z Anglikami, rozszerzyli to pojęcie o tyle, że dusze ich rodaków przejdą po śmierci w ciała bogatych Anglików.

Polinezyjczycy wierzą w to, że dusza ludzka wygląda tak samo jak ciało za życia, ale jest nieuchwytną, a ponieważ po śmierci rozłącza się z ciałem, to też niektórzy dzicy przykrywają głowę umierających koszykiem, aby duszę w ciele zatrzymać.

Czerwonoskóry Indjanin przedstawia sobie wiele rzeczy nieżyjących, obdarzonych duszą.

Strzelba Europejczyka morderczym ziejąca ogniem, roznosząca śmierć i postrach, jest w oczach Indjanina istotą duszą obdarzoną.

To samo myślą o zegarku, którego jednostajne tykotanie, wprawia w wielki podziw Indjanina.

Tytoń, mile drażniący nerwy i unoszący z swym dymem troski i kłopoty życia ludzkiego, stał się istotą czcigodną — a nawet fajka i tytonierka, dymem tytoniowym przesiąknięte, są istotami duszą obdarzonemi.

Najwięcej szczepów indyjskich wierzy, że dusza w człowieku jest dwojaka: cielesna i niecielesna. Dusza cielesna wędruje w krainę duchów, wiecznej używając szczęśliwości, niecielesna zaś, pozostaje jako strach przy ciele, unosząc się niewidzialnie na cmentarzysku.

Chińscy filozofowie rozróżniają także dwojaką duszę: naturalną i duchową. Dusza naturalna umiera wraz z ciałem, duchowa zaś łączy się natychmiast z bóstwem i pomaga mu złe zwalczać demony. Mieszkańcy Grenlandji wierzą w podzielność duszy. Podług ich pojęcia, opusz

*) Na prawym brzegu Amuru.

cza ona ciało w czasie snu i wyrusza na polowanie lub rybołowstwo, a nawet wątleje, wzrasta i ginie częściowo. W takim razie mogą ją czarnoksiężnicy naprawić. Ponieważ po za obrębem ciała przebywająca duszyczka może zbłądzić i nie może znaleść swego ciała, uciekają się czarownicy do środków czarodziejskich, sprowadzają zbłąkaną duszyczkę do ciała, mogą nawet zastąpić chorą duszę, duszyczką rena, ptaka albo małego dziecięcia.

U Indów rozszerzyło się to mniemanie, że niektórzy śmiertelnicy tę wielką mają władzę, że dusza ich dobrowolnie może ciało opuścić, po różnych wędrować krajach i wrócić znowu do opuszczonego siedliska. Władzy onej dostępuje się przez tajemniczą modlitwę, *mandiwam* zwaną, a kto ją tylko umie, może jeszcze za życia zwiedzić niebo.

Co się tyczy życia pozagrobowego, okazuje się z religii różnych dzikich ludów, że (mówiąc za Trentowskim) życie w *tameczności*, ma barwę życia *tuteczności*.

I jak u starych Greków, dusze zmarłych musiały się w podziemiu łódką przez Styx przeprawiać i za przewóz płacić obolem Charonowi,*) Tartarus miał być spiżowym obwiedziony murem, Sezyp ogromne stacza kamienie, a Tantal wiecznie po owoce sięga — i jak ich szczęśliwe dusze miały wozy i konie, wyprawiając jak za życia na polach elizejskich igrzyska — jadły i piły, tańczyły i śpiewały, tak też i islamizm, nie pojmuje inaczej życia pozagrobowego, jak tylko zmysłowo. Ci, którzy zmartwychwstali, musieli przebywać most Shirath, wąski, śliski, a ostry jak najostrzejszy miecz. Most ów położony nad stawem *Hanah*, przebywają wierni pod przewodnictwem proroka nader szybko i przechodzą do ogrodu rajskiego, ośm bram mającego, położonego nad siódmem niebem.

Najpierw przychodzą do źródła, mającego wodę białą jak mleko, o zapachu piżmowym. W około stoją puhary do picia.

W raju spoczywają sobie błogosławieni na złocistych wezgłowiach, a nieśmiertelni młodzieńcy i wiecznie młode panny (huryski), usługują im, podając najwyborniejsze pokarmy i napoje. Tu żyją bez grzechu, w cieniu drzew, balsamiczną rozlewających woń, cieszą się wiecznie, nucą śpiewy pochwalne na cześć Boga, który im swe zadowolenie okazuje w ten sposób, że piękne wysyła podarki. Boskie tchnienie porusza drzewa, na których wiszą dzwonki o prześlicznym harmonijnym dźwięku; anioł Israfil śpiewa. Żaden z błogosławionych nigdy się nie starzeje, ma wiecznie lat trzydzieści a sześćdziesiąt łokci długości.

Ziemia rajska składa się z mąki pszennej, piżma i szafranu.

Mieszkalne domy błogosławionych zdobi obficie złoto i srebro; najpiękniejszy pałac ma oczywiście prorok.

Przed nim rośnie drzewo Tuba, drzewo szczęśliwości i sięga swemi konarami do wnętrza chaty każdego z wiernych, darząc go daktylami, winnem gronem i różnorodnymi południowymi owocami, a nawet potrawami mięsnemi.

Łatwo się domyśleć, że niewierni, nie używają takich rozkoszy.

Najpierw przechodząc most *shirath*, wpadają do piekła (*gehennem*), gdzie wieczny płonie ogień i rosną drzewa, których owocem są djable głowy.

Potępione dusze muszą zjadać owe djable głowy, które im rozszarpują wnętrzności.

Panem piekła jest anioł *Thabek*.

Fr. Ks. Mroczko.

*) Zwyczaj ten zachował się w niektórych miejscach u nas na Podolu. Nieboszczykowi wkładają do trumny kilka groszy w chusteczce zawiniętych.

NIEBEZPIECZNA ZABAWA

P. Bronisław Rejchman, którego naukowe artykuły o magnetyzmie kilkakrotnie podawaliśmy naszym czytelnikom, zamieszcza w Kurjerze Warszawskim pełne słuszności uwagi o niebezpieczeństwach mody magnetyzowania, trapiącej obecnie Warszawę. Uwagi te, powtarzamy in usum amatorów lwowskich:

„— Magnetyzowałem wczoraj panią X., tyś zapewne magnetyzował pana Z., a oto Ignaś obok w buduarze magnetyzuje pannę Y.

Jesteśmy lepszymi magnetyzerami, niż pan U. i niezadługo dojdziemy do najwyższej doskonałości, abyśmy tylko tak jak dotąd często magnetyzowali. Lekarze zżymają się, grożą niebezpieczeństwem, ale to strachy na lachy! Magnetyzujmy i nie lękajmy się niczego!

W salonach i nie salonach, pomiędzy ludźmi wszech stanów, wyznań i stopni oświaty słychać podobne tylko do powyższej rozmowy, w których słowo „magnetyzować“, odmienia się przez wszystkie czasy, tryby i osoby. Poszły w kąt zabawy w „podróż po Europie“, w „sekretarza“, w „kotka i myszkę“, młodzież bawi się w „magnetyzowanie.“ Znieczulamy się, tetanizujemy, kataleptyzujemy, hyperestyzujemy, wmawiamy — wdzięczna publika patrzy na ludzi z podnieconą i zmięszaną ze strachem ciekawością, magnetyzer otacza się aureolą jakiejś potęgi; *medium*, na które dotąd mało zwracano uwagi, staje się przedmiotem powszechnej rozmowy, wszyscy więc są kontenci, wszyscy z zajęciami czas przepędzili, czegoż więcej potrzeba?!

Zachodzi tylko pytanie, czy ta zabawka jest tak niewinną, jak się bawiącym wydaje?

Na to można odpowiedzieć stanowczem przeczeniem.

Już z teoretycznego punktu widzenia można dojść do wniosku, że magnetyzowanie nie może pozostać bez znacznych zmian w organiźmie. Tak wydatne objawy muszą być skutkiem jakichś dość silnych zmian w nerwach. Ponieważ ich nie znamy i kierować niemi nie umiemy, więc powinniśmy być względem nich bardzo ostrożni.

Jestto zasada ogólna, mogąca dotyczyć każdego organizmu w ogóle; istnieje zaś mnóstwo specjalnych stanów nienormalnych, w których złe skutki nie dadzą na siebie czekać i mogą wybuchnąć jako katastrofa, zarówno karząca magnetyzera, jak i magnetyzowanego.

Rozumowania te zostały już, niestety, stwierdzone faktami.

Młodzieńcy, których magnetyzował p. Donato, a którzy później przez innych magnetyzerów używani byli do doświadczeń, doszli do jakiejś chorobliwej czułości na wzrok drugiej osoby i na muzykę. Ktokolwiekbądź patrzy im przez kilkanaście sekund w oczy, wprawia ich w stan magnetyczny. Nie mówiąc już o innych szkodach fizjologicznych, zwrócimy uwagę tylko na to, że taka zależność od drugiej jakiejkolwiek osoby daje każdemu sposobność i możność do czynienia wszelkich nadużyć, szczególniej niebezpiecznych dla płci słabej...

Czy kto z magnetyzujących lub magnetyzowanych zastanowił się nad całą okropnością tego stanu nieszczęśliwego? czy uprzytomnił sobie jego znaczenie?

Medium daje sobie paraliżować wolę i inteligencję, i po licznych eksperymentach staje się coraz skłonniejszem do wpadania w stan automatu. Z początku młodzieniec ulegał tylko ludziom z bardzo silnym wzrokiem, potem słaby już mu wystarcza, co mówię, już samo wyobrażenie sobie, że ktoś go chce magnetyzować, jest dostatecznem. Z początku trzeba mu było patrzeć w oczy przez 3, 5, 10 i więcej minut, po kilku tygodniach sześćdziesiąta część tego czasu wystarcza!

I człowiek z rozumem i wolą, człowiek samoistny, staje się chorągiewką na dachu, drżącą za każdym powiewem. Lękać się musi, aby nie spojrzał na niego badawczo żandarm na kolei żelaznej, konduktor omnibusu, choćby niewinne *vis-à-vis* w kadrylu... Z człowieka stał się przedmiotem, każdy może mu szkodzić, każdy może się nim bawić jak piłką.

I to niektórzy uważają za zabawkę!

Ależ doprawdy lepiej jest zostać pozbawionym wszystkich praw stanu i wysłanym do „niezbyt oddalonych miejscowości“, aniżeli być pozbawionym samodzielności.

Jestto zdruzgotanie istoty ludzkiej, podeptanie najdroższego przywileju człowieka.

Czyż potrzeba nadto i na inne szkody zwrócić uwagę?

Przytoczymy jednak jeszcze kilka przykładów dla scharakteryzowania różnostronności niebezpieczeństw czyhających na magnetyzowanych.

O chorobliwej czułości na muzykę, opowiadał mi jeden z młodzieńców, który był świadkiem i osobą czynną następującego zdarzenia.

Poszedł ze swoim kolegą, także *medium*, na przedstawienie jakiejś komedji. Gdy w międzyakcie muzyka zagrała rzewną melodję, uczuł początkowe zjawiska ekstazy... Bojąc się wpadnięcia w katalepsję, postanowił opuścić teatr. Zwraca się do kolegi z tą propozycją, a kolega... już spi! Obudził go więc dmuchnięciem— i obaj uciekli czemprędzej!...

Dla *medium* niebezpiecznym jest nawet kataryniarz wygrywający „Violetę“ pod oknem!

Inne *medium* p. ***, młodzieniec bardzo rozwinięty i rozsądny, mówił mi, iż nadal nie da się magnetyzować, albowiem dotąd nic nie wiedział o tem, „że ma nerwy“, a obecnie od czasu, jak został *medium*, czuje jakieś rozdrażnienie, jakąś dziwną drażliwość na wszelkie bodźce przyjemne i nieprzyjemne...

Wreszcie należy wziąć pod uwagę wypadek opisany przez warszawskiego lekarza dra Rosenthala.

Osoba, która się tylko przypatrywała magnetyzowaniu, doznała stężenia kończyn, drgawek i przedstawiała objawy obłąkania pewnego rodzaju — stan ten trwał bardzo długo, a może trwa dotąd...

Niemniej pouczającem jest zdarzenie następujące.

Małżonka jednego z naszych kolegów prosiła pewnego magnetyzera, aby względem niej

siły swych oczu spróbował. Opierała mu się do ostatka... zmęczony magnetyzer postanowił próbę odłożyć na inną chwilę. Lecz gdy tylko opuścił mieszkanie, pani *** wpadła w silny atak nerwowy.

Mówię tu tylko o faktach świeżych. Sięgając w czasy dawniejsze, mógłbym przytoczyć bardzo nieprzyjemny wypadek, który spotkał także jednego z naszych kolegów. Osoba przezeń magnetyzowana, przedtem zupełnie zdrowa, opłaciła doświadczenie chorobą półroczną, a magnetyzer długo nie mógł się otrząsnąć z wyrzutów z powodu niewinnie wyrządzonej krzywdy.

Oprócz tego, w magnetyzmie jest jeszcze jedna strona szkodliwa, której bliższem określeniem w artykule niniejszym zająć się nie mogę. Radzę tylko matkom i ojcom, aby swe córki pozwalali magnetyzować — jeśli już koniecznie chcą tego — jedynie tylko mężom, a co najwyżej narzeczonym... ale także nie nadługo przed ślubem. Jeśli dziecinna zabawa patrzenia „oko w oko“ została uznana za nieprzyzwoitą i szkodliwą, to tembardziej kwalifikuje się na listę proskrypcyjną — magnetyzm.

Więc — ostrożnie z ogniem!

Nie denerwujmy społeczeństwa dla zabawy, i nie wywoływajmy wilka z lasu, w postaci jakiegoś nagłego a nieoczekiwanego ataku nerwowego, który rodzinę *medium* może okryć żałobą, a magnetyzera zaprowadzić przed kratki sądowe.

Magnetyzm powinien być tylko wywoływany dla celów naukowych, a do celów tych, tak szerokiej i głębokiej potrzeba wiedzy z dziedziny fizjologji i patologji, że o ich osiągnięcie nie może się kusić żaden filolog, prawnik, inżynier, a tembardziej aktor, kupiec, fryzjer, cukiernik i t. d. Oczytanie w dziełach magnetyzerów nic tu nie znaczy. Trzeba ku temu specjalnego przygotowania.

W tym też tylko celu dokonywane i odpowiednią nauką wylegitymowane doświadczenia magnetyczne powinny i mogą być tolerowane, ludzie zaś nieuzdolnieni do nich specjalnie, jeśli czują w sobie silne powołanie, a wierzą w swój gienjusz czy gwiazdę, powinni poprzestać na *mediach* ze świata zwierzęcego, na kurach, rakach i świnkach morskich.

I tutaj odkrycia mogą być tak ważne, jeśli nie ważniejsze jak w świecie ludzkim, a kto ich dokona, pozyska tem samem prawo do czynienia doświadczeń na człowieku.

Mówimy to w przypuszczeniu, iż niektórzy, nieprzygotowani odpowiednio, magnetyzerzy czynią doświadczenia w celu poważnym; wskazujemy im więc pole do pracy nadzwyczaj poważnej a przytem bezpiecznej — niech robią odkrycia, albo... przekonywają się, że ich robić bez odpowiedniego przygotowania naukowego nie można.

REBUS.

Życie człowieka jak misterny rebus,
Z różnych obrazków w jeden sens się składa...
Nikt nie rozwiązał go — choć... każdy bada.

Na pozór wszystko w nim dla nas widoczne,
Wszystkie symbole, wszystkie znaki znamy:
Lecz nie umiemy ująć całość w ramy.

Życie człowieka jak misterny rebus...
Płaczem się kończy i zaczyna płaczem,
A jest gonitwą — któż odgadnie za czem?

Wśród czystych puchów dziecięcej kolebki,
Kryje się, niby wśród osłony złotej,
Zaród wielkości lub zaród — nędzoty...

Rozpoznajemy też dalej wyraźnie
Płomienne błyski młodocianej chwili,
Jak żar gorącej — czystej, jak kwiat lilii.

Rozpoznajemy pierwsze dźwięki serca,
Nie obleczone w żadną ludzką mowę,
Jak świat odwieczne, jak świat zawsze nowe.

Toż nam nie obca także i ta gorycz,
Z rozczarowania płynąca, z zawodu,
Każdy śmiertelnik poznał ją za młodu.

Po snach upojeń i po burzach uczuć
Czyn dźwiga w górę sztandary bojowe,
Nad serc boleścią dumnie wznosząc — głowę.

Żelazną nogą śmiało naprzód kroczy,
Ani się lęka przeciwnej kolei,
Olśniony blaskiem potężnej idei.

Dopiero wielki kosarz ziemskich losów,
Śmierć, nagle sztandar wyrywa mu z dłoni,
A żaden bóg go od niej nie obroni.

Odtąd już w rebus inne wchodzą znaki,
Dziwaczny jakiś zamęt wśród nich gości,
Kiedy nam prawią o nieskończoności.

O wiecznem życiu i o zmartwychwstaniu,
Co znów zjednoczy prochy nasze w ciało,
Lecz już olśnione inną — wyższą chwałą...

Gdzież nić łącząca wszystkie te ogniwa,
Tak ułożone mądrze i wspaniale,
Te upojenia, te walki, te żale?

Próżno jej szukać... bo choć znany rebus,
Lecz syzyfową byłoby nam pracą:
Dochodzić: zkądto wszystko? albo: na co?...

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Sara Bernhard frunęła! Zjawienie się jej we Lwowie przyrównać można do rewolucji sprawionej rzuceniem kamienia na gładką powierzchnią wody. Z początku nastąpił wybuch w rodzaju kroplistej fontany, potem wzburzony krąg fali, potem rozszerzenie się tego brzegu, a w końcu słabe uderzenie fal o brzegi — czyli wspomnienie o tem wszystkiem i brak sześciu tysięcy guldenów w kieszeniach naszych. Mimo to, niewątpię, że czytelnicy naszego pisma, chcieliby naprawdę wiedzieć kto i czem właściwie jest ta kobieta, której imię od kilku lat rozbrzmiewa po obu półkulach naszego planety. Zapatrując się już na tę rzecz poważniej, musimy przyznać, że jest niezwyczajną kobietą i niezwyczajną artystką, obdarzoną nie powiemy gieniuszem, ale wybitnym i oryginalnym talentem, zdolnym niejako wsiąknąć w siebie charakterystykę osób, które w rolach przez siebie odgrywanych przedstawia. Recenzenci tutejsi nie bez racji przyznają jej, że stanowi niejako dopełnienie Aleksandra Dumasa syna, jako autora kreacji kameliowej damy. Gdyby po całym świecie szukając, chciał on wynaleźć wymarzoną przez siebie kameliową damę, pewnieby nie znalazł lepszego i prawdziwszego pierwowzoru jak w Sarze Bernhard. Artystka ta z krwi, ciała i ducha jest rzeczywistą Małgorzatą na scenie. Pełna życia, energii, woli, obdarzona wyższemi zdolnościami we wszystkich kierunkach artyzmu, Sara Bernhard przedstawiając postać kameliowej damy jest tylko sama sobą na scenie, i właśnie ta okoliczność daje jej wyższość nad innemi artystkami dramatycznemi, że nie potrzebuje nikogo studjować i naśladować, nie potrzebuje liczyć się z publicznością, bo Dumas pisząc swoją sztukę właśnie jakby malował jej myśli i uczucia, jej ruchy pełne nerwowego niepokoju, zmienne jak kalejdoskop, osadzony na dnie szlachetnej natury kobiety, dla której miłość jest zawsze czemś różnem od innych uczuć i namiętności ludzkich, czemś stojącem poza zwykłemi warunkami życia — ideałem, tak rzadko w swej rzeczywistej postaci schodzącym na ziemię. Dodajcie do tego kobietę artystkę wyemancypowaną z wielu warunków zwyczajnego konwenansu, kobietę, która wie i umie być tylko Sarą Bernhard, rzucającą urok na wszelkie otoczenie, żądną hołdów i umiejącą je wywoływać wszelkiemi środkami, jakie kobieta, sztuka i talent mają do rozporządzenia — a nie zdziwicie się, jeżeli trzeba patrzeć się na nią, jakby na fenomen jaki. w tych nudnych i monotonnych czasach. Wszelkie jakiebądź i z kimbądź porównanie Sary Bernhard byłoby tu nie na miejscu, jak równie posądzanie ją o blagę. Ona wytworzyła sobie inne od wszystkich artystek wyobrażenie o sztuce i życiu, i wyobrażenie to nawskróś przejęło jej wrażliwą i niczem nieokiełzaną naturę. Otóż taką jest, podług nas, Sara Bernhard i z tego powodu godną podziwu i studjów.

Kiedy już ostatnia iskra fajerwerku po Sarze Bernhard przygasa, wypada nam spojrzeć na posępny i pełen nudnej prozy zwyczajny bieg spraw naszego miasta. — W ubiegłym tygodniu ożywiły go nieco mrówcze krzątania się ludzi dobrej woli nad ulżeniem niedoli. — Ukonstytuowało się Stowarzyszenie urzędników, dla zapewnienia pierwszej pomocy rodzinie w razie śmierci ojca, tudzież posagu dla wychodzących za mąż córek. A że na czele tego stowarzyszenia stanęli ludzie poważni, dający rękojmię, że na wiatr nie puszczają pomysłów, przeto jest nadzieja, że nowa ta instytucja nie skończy swej karjery na wyborze tylko Zarządu, jak to w tylu już Stowarzyszeniach lwowskich miało miejsce. Dalej drugie prawdziwie filantropijne Stowarzyszenie opieki nad uwolnionymi więźniami, również w dobre dostało się ręce i poprowadzi rzecz z pewnością na pożytek społeczeństwa, któremu jeżeli nie zdoła powrócić zatraconych owieczek w zupełności, to przynajmniej większą ich część potrafi uczynić nieszkodliwemi na przyszłość. Dawna „Opatrzność“ także chce się zreformować i wejść na drogę zapewnienia bytu nieszczęśliwym, przez założenie domu zarobkowego, w którym dałaby się zużytkować wszelka praca ubogich, aby nie przyuczać ich do bezpłodnej a demoralizującej żebraniny. Te trzy i to w jednym czasie powstałe instytucje, bardzo pochlebnie świadczą o filantropijnem i pełnem chrześciańskiego miłosierdzia, usposobieniu naszego miasta, a jeżeli się udadzą, (o czem nie wątpimy) staną się prawdziwem i rozumnie pojętem dobrodziejstwem.

Z wielkiej polityki tyle słychać, że ogarnęła nas znowu gorączka kolejowa. Pomysły dróg wicynalnych rosną co dnia, jakby szlachcie

naszej ktoś podlał drożdży kolejowych. Jarosław-Sokal podobno już koncesjonowana, Krasne-Buczacz już uradzona, Lwów-Tomaszów tylko patrzeć jak spadnie na stół, a tu znowu Tarnopol-Husiatyn wykluwa się jak kurczę z jaja i gwałtem otwiera piszczący dzióbek. Szanowni panowie projektowicze, czy to tylko nie za wiele! Co będziecie wozić temi kolejami? Czy myślicie, że te kilkanaście tysięcy worków zboża, a przypuszczam kilka kroć sto tysięcy, które macie do sprzedania i wywiezienia, wystarczy na utrzymanie tak kosztownych rzeczy, jakiemi są koleje żelazne, choćby i wicynalne? A w takim razie, kto będzie płacił kupony od akcyj, kto będzie gwarantował dochód? Od ostatniego krachu wiedeńskiego upłynęło dopiero ośm lat, czyżby już ludzie tak prędko o nim zapomnieli, lub przepłukane kieszenie już zapełnili? Jeżeli was prawe dłonie tak zanadto swędzą, to kupujcie serbskie losy, które nam łaskawie Bank dla krajów tak hojnie nadsyła, że aż okna sklepów wekslarskich od nich różowieją. Po wypędzeniu metropolity Michała, jesteśmy bardzo dobrze z Serbią; wypadałoby zatem poreperować trochę ich finanse, do czego tak łaskawie i taką massą milionów obracający Länderbank daje nam sposobność. Otóż czy to nie prawdziwy dowód sprzyjania krajowi dany przez naczelnika tej instytucji? A niech też kto wygra 100,000 franków we Lwowie, dopiero będzie uciecha i wdzięczność.

Na wielkim świecie w Wiedniu, podobno także nie idzie wszystko jak się należy. Lewica się zeszlusowała, minister skarbu zapowiedział, że po pewnem niewinnem uporządkowaniu, pewnych podatków, gotów na przyszły rok powiązać końce austrjackich finansów, nasi patronowie z Wiednia, nakazali krajowi cicho, sza, posłuch mości dobrodzieju, popierać ministerjum autonomiczne, aż tu buch, wypada z prawicy 26 z księciem Lichtensteinem i Lienbacherem, i powiada: „My naprzód! razem przyjaciele jak zawsze, tylko my przed wami, my prawdziwe jądro was!...“ W obecnym składzie izby, właśnie te dwadzieścia sześć głosów decyduje... No, i co będzie z tego? — Jak się zdaje, porządny starej daty konserwatyzm, z którym niestety my Polacy od wieków znamy się bardzo dobrze. To też wiadomość ta w kole potomków dawnych tromtadratów lwowskich zrobiła pewne wrażenie. Polaków i Czechów tak ślicznie i gładko wyprowadzono w pole, że zaczynają się w niepoprawnych głowach naszych roić pewne niesforne myśli i zapytania, cośmy też zyskali i otrzymali za naszą wierną i niskazitelną służbę? Nie mając najmniejszego talentu do rachunków, a zwłaszcza politycznych, nie jestem w stanie zbilansować owego credit i debet, więc niezmiernie byłbym obowiązany któremu z moich czytelników polityków, gdyby mi ten rachuneczek zestawić raczył.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Gdyby stryjaszek Kajser na chwilę był zstąpił ze sfer zaobłocznych, byłby mógł dostrzedz w oczach Marjanny błędne ognie jakieś, a w jej ruchach gorączkową niecierpliwość. Ale co go to obchodziło. On tymczasem rozprawiał o moralności artystycznej, o godności estetyki, o potrzebie zapewnienia sztuce wyższego poziomu, wytknięcia jej misji, celu, ideału, sztuka, jak utrzymywał, powinna być „wychowawczo-umoralniającą“ — jednocześnie zaś pozwalał, że w pracowni jego jak piesek przybłąkany, rozwija się bez żadnej opieki, istota nosząca jego nazwisko, wrażliwa, rozgorączkowana, znudzona już i wzrastająca w nieświadomości dobrego i złego.

Samotna, zapomniana, młoda dziewczynka całemi dniami przesiadywała schylona nad książką, blada, z rozpalonemi ustami, z płonącem okiem, lub też podparta w oknie, goniła wzrokiem jakieś nieznane widziadła wśród piętrzących się w górze obłoków.

Okna pracowni wychodziły na cichą i smutną ulicę, z której dochodził zaledwie odgłos przytłumionych, ciężkich kroków rzadkiego przechodnia. Duszne tu było powietrze, a po za temi szybami, posępny horyzont zamykały kamienne mury, o które roztrącały się myśli Marjanny, jak skrzydła ptaka łamiące się o ściany ciasnej klatki.

Ach! gdyby można było uciec z tego więzienia, uciec jak najdalej od egoizmu i teorji Szymona Kajsera i żyć życiem tych, co wolne są, kochane, bogate i szczęśliwe!

Było to najgoretszem pragnieniem Marjanny.

Wiecznie mając przed swemi oczyma ów szary mur, kilkupiętrowego domu, stojącego naprzeciw pracowni malarza, z zamkniętemi w lecie żaluzjami, bo mieszkańcy wynosili się na wieś, podczas gdy w zimie, błyszczące po za firankami światełka, wyglądały jak czerwone plamy na zatłuszczonym papierze. Marjanna do głębi duszy przejęta była cierpką, samemu tylko Paryżowi właściwą, melancholią i trawiącemi przywidzeniami, dotkliwemi jak cierpienia nie dające się uleczyć.

W ten sposób upływały jej lata, więżąc ciało i duszę w mieszkaniu, z którego nie wydalała się nigdzie, z wyjątkiem jedynie galerji Luwru, gdzie oprowadzał ją pod rękę stryj Szymon i zatrzymując się niezmiennie przed temi samemi obrazami, rozpoczynał wygłaszanie swym przedętym, jakby starej *komedjantki* głosem, tych samych zawsze komunałów, unosząc się gniewem lub wpadając w zachwyt uwielbienia, stosownie do tego, czy rozpatrywane arcydzieło wkraczało w dziedziny jego *maniery, systemu*, jego *wyznania wiary*, czy też było im wprost przeciwnem. A trzeba go było słyszeć z jakiem namaszczeniem wypowiadał swoje »*sy-ste-ma-ty!*« Marjanna z góry już wiedziała, co potem nastąpi:

— Co warta cała ta szkoła flamandzka!? Wszystko to malarze tabakierkowi, bez ideału, bez żadnej doniosłości! Albo ten Tycjan, popatrzno tylko! Gdzież w nim jest *myśl?* gdzie ślady jakiejś *mo-ral-no-ści?* Tycjan! Handlarz świeżego mięsa! Rzeźnik w jatce! Malarz rozpustnik! Sztuka powinna odznaczać się „królewskością, godnością, dziewiczością, idealnością!“...

Ach! te nadęte, pedantyczne słowa, zabijające monotonnem swem brzmieniem, wpadały w ucho Marjanny, jątrząc niezagojone umysłu jej rany.

Po każdem takiem zwiedzeniu Muzeum, zostawała pod wrażeniem, jakby powróciła z wycieczki na cmentarz. Opanowywało ją zupełne zniechęcenie i gniew tłumiony przeciw wyrokom losu. Stokroć milszą już jej była pracownia stryja, ze zniszczonemi sofkami, z obiciami pogryzionemi przez robactwo i odpadającemi całemi szmatami.

Tam, przynajmniej, mogła być samą i w samotności dręczyć się obawą o przyszłość. A obawy te nie były bez uzasadnienia: młoda dziewczyna, która wszystko czytała, wszystko słyszała, rozumiała i pojmowała, — skalana samym pobytem w pracowni Kajsera, podobniejszej częstokroć do szynkowni, aniżeli do przybytku sztuki — dziewica ciałem, ale pozbawiona wszelkiego cienia nawet dziewiczości w duchu, słusznie miała prawo zastanawiać się nad sobą i pomyśleć od czasu do czasu, dokąd doprowadzić ją może podobne osamotnione życie.

Posagu nie miała żadnego. Po ojcu nic się nie zostało. Kajser biedny był i zadłużony. Sposobu do życia, również żadnego nie posiadała. Udzielanie lekcji muzyki na fortepianie, zakrawało w oczach Marjanny na jakąś służbę, wymierzaną na godziny. Dobre to dla tych, co chcą ubiegać się o nagrodę Montjona! Ale ona nie zniży się nigdy do czegoś podobnego!

Boże! co za udręczenie! Jakiż będzie koniec życia podobnego? Małżeństwo? Któż ją zechce? Może który z tych artystów bez talentu, co popisywali się u Kajsera ze swemi zaśniedziałemi teorjami i wykrzywionemi butami? Z jednej nory przejść do drugiej, z niedostatku w nędzę? Zostać żoną jednego z tych nieczesanych i nieumytych filozofów? Na samą myśl podobną, wzdrygała się istność jej cała. A tu, przez nawpół uchylone okno dochodziły ją gorące, upajające wyziewy z innego, wymarzonego przez nią świata, mamiące ją i rozdrażniające bezustannie.

Z przymrużonemi oczyma leżąc na obdrapanej sofie, pod tchnieniem łagodnego wietrzyku, pieszczącego nadobne kształty jej ciała, marzyła, marzyła, marzyła..

Przebudzeniem z tych marzeń był czyn nierozważny, szalony, ucieczka.

Znalazł się w domu przy ulicy Navarin jeden śmielszy przechodzień, malarz jakiś, który w codziennem zetknięciu się z Marjanną, umiał rozdmuchać tlącą iskrę miłości w zepsutem jej dziewiczem sercu. Wystarczyło na to jedno spojrzenie.

Spotkanie z rozpustnikiem zdecydowało o całem życiu Marjanny. Upadła, nie przez nieświadomość, ani też wiedziona ciekawością, ale z gniewu i jakby przez zuchwalstwo. Samotnej, zaniedbanej przez wszystkich, bez matki, bez rodziny, bez żadnej podpory i bez miłości — lepiej już zrzucić raz na zawsze jarzmo ze siebie! Wyzwoliła się, zbuntowała przeciw wymaganiom społecznym.

Uciekła z owym malarzem.

Był to ładny chłopiec, spragniony przyjemności, rad też popisywał się swoim podbojem i rzucił Marjannę w towarzystwo zwykłych wesołych kobiet i byłby z niej uczynił podobną do nich, gdyby nie wyższe jej wykształcenie, moc woli i wstręt wreszcie do niego samego, które skłoniły ją do porzucenia i pierwszego tego kochanka i niecnych towarzystw, w jakie ją chciał wciągnąć.

Kajser tyle tylko, że objawił zdziwienie na wiadomość o ucieczce siostrzenicy. Jak to być mogło, że on nie domyślił się, co tam gotuje się

w tej główce? — „Szatańska sprawa z temi kobietami — mówił — kto ich zrozumieć potrafi?! Rodzony ojciec nicby nie odgadł, a cóż dopiero stryj!

— Zresztą — dodawał, zapalając świeżą fajkę — Marjanna, jako pełnoletnia, miała prawo rozporządzać swoim losem; wszelka odpowiedzialność na nią samą więc tylko spadać może. Skoro zbada całą głębię przepaści, w jaką się rzuciła... znajdzie się zawsze dla niej miejsce — kończył — przy *ognisku* stryja Szymona!

Domowem ogniskiem Kajsera, Marjanna, dawnemi jeszcze czasy, nazywała jego fajkę.

A przytem Kajser znajdował pociechę po tym wypadku w świętości Sztuki, jedynej świętości, jaką uznawał. Pod tym względem nie dopuszczał żadnych ustępstw. Cóż to znaczyło dla świata, że jakaś dziewczyna źle się pokierowała, chociażby ta dziewczyna była jego siostrzenicą? Moralność publiczna nic na tem nie ucierpiała. Ale gdyby on, przypadkiem, wystawił na widok publiczny obraz niemoralny — ah! to byłoby zupełnie co innego! „Godność, czystość, dziewiczość sztuki, rozumiem! Ale kobieta! Ba! Kobieta!...“ I nikt też nie słyszał, aby choć raz jeden, choćby przez prostą ciekawość zapragnął dowiedzieć się, co się stało z Marjanną.

Wśród takiego życia lekkiego, nie będącego życiem zalotnicy publicznej, ale raczej życiem wyzwoleńca, mszczącego się w ten sposób na społeczeństwie, Marjanna spotkała Guy de Lissaca i pokochała go, o ile tylko ukochać była w stanie. Towarzystwo Guya było dla niej rozrywką. Z nim mogła rozmawiać o wszystkiem, wynurzać się, tworzyć projekta. Dla czegoż mieliby się kiedykolwiek rozejść? Uwielbiali się nawzajem. Guy miał majątek i żył odpowiednio. Marjanna była kochanką wykwintną, wykształconą, mogącą dziesięć innych, piękniejszych od siebie kobiet zastąpić. Guy z każdym dniem coraz bardziej przywiązywał się do niej. Ona niejednokrotnie powtarzała mu z wewnętrznem przekonaniem, że przed nim nikogo nie kochała.

A pierwszy jej kochanek? Eh! nazwiska już jego nawet nie pamiętała!

Nie mieli najmniejszego powodu, aby nie żyć z sobą na zawsze złączonymi, szczęśliwi wspólnem tem życiem, ubarwionem zgodnością charakteru, tożsamością usposobień i kaprysów. Po cóż się mieli rozłączać? — powtarzamy raz jeszcze. Pytanie to właśnie skłoniło Guya do zerwania. Zląkł się tego związku — nie wiedząc końca jego. Miłostka, w którą się wplątał z rozkoszą, mogła z czasem przemienić się w *kajdany*. Ileż to już razy pytał się sam siebie, czyby nie zaślubić Marjanny, której przeszłość nie była mu obcą, ale której czar upajał go aż do zapomnienia całej tej przeszłości.

Kiedy już stryj Kajser zajęty wyłącznie „godnością sztuki“ i tworzeniem allegorycznego obrazu, zatytułowanego »*Nowoczesna rodzina*«, — w duchu sztuki czystej, dziewiczej, mistycznej, socjalnej i odżywiającej — zapomniał zupełnie o synowicy, — Lissaca właśnie brała często ochota zwrócić mu ją, nie mógł bowiem zgodzić się z myślą, aby kto inny jego miejsce w sercu Marjanny zastąpił. Wstręt wreszcie do małżeństwa, pokonał w nim i to uczucie zazdrości. Pewnego dnia Guy zerwał stosunki gwałtownie, a zerwał w sposób następujący.

Czując się nieco cierpiącym, nie podnosił się od kilku dni z łóżka, gdy jednego poranku ujrzał wchodzącą Marjannę:

— Teraz już cię więcej nie opuszczę! — zawołała na progu jeszcze. — Jesteś w niebezpieczeństwie, przychodzę czuwać nad tobą i uratować cię!

Tym razem, Guy uczuł, że jest zgubionym. Szybko, jak uderzenie piorunu, raziła go myśl, że jeśli pozwoli tej kobiecie wprowadzić się do swego mieszkania, skończy się swoboda jego prawdopodobnie na całe życie. Według zasad tego Paryżanina, każdy mężczyzna powinien być zawsze w *stanie rozporządzalności*. Z drugiej strony, czuł wstręt do owych połowicznych małżeństw, przezwanych makulaturą małżeństwa; — ryzykując więc życie dla ocalenia wolności, skorzystał z chwilowej nieobecności swej przyjaciółki, czuwającej nad nim jak siostra miłosierdzia, wywlókł się z łóżka, zapakował w walizie cokolwiek potrzebniejszych rzeczy z bielizny i garderoby i trzęsąc się w ataku febrycznym, kazał się zawieść na dworzec kolei i wyjechał do Włoch.

Marjannie o mało serce nie pękło na wiadomość o tym niespodziewanym odjeździe. Jedyna nadzieja z rąk się jej wysuwała. Kochała rzeczywiście Guya i wyobrażała sobie, że już go *trzyma*. On tymczasem, uciekł przed nią! Dokąd? W pierwszej chwili chciała podążyć za nim; zanim się jednak zdecydowała, w którą stronę się wybrać, otrzymała kilka listów od niego. To ją zbiło z tropu; nie trudno bowiem było się domyśleć, że Guy pragnąc jej uniknąć, poprosił przyjaciół, aby naprędce pisane bileciki, z różnych punktów przesyłali do Paryża. Ściganie uciekającego kochanka, byłoby w takim razie zbyt śmieszną rolą. Pozostała więc; a zniechęcona, zrozpaczona jakby po owdowieniu, skierowała swe kroki na ulicę Navarin, jak zbłąkana owieczka wróciła do swojej owczarni, gdzie zastała stryja Szymona, pełnego spokoju, jak zawsze, i *Nowoczesną rodzinę* prawie na ukończeniu.

— Jest to, mojem zdaniem, najlepszy utwór, jaki wyszedł z pod mojego pędzla; najlepszy i najmoralniejszy, — przemówił do niej na powitanie Kajser. — W sztuce, moje dziecię, moralność przedewszystkiem. A teraz usiądź i opowiedz mi twoje przygody miłosne!

Pięć lat upłynęło od owego czasu — i przez całe te pięć lat — Lissac nie widział Marjanny. Namiętny stosunek ich zmienił się powoli — listownie — w przyjaźń. Marjanna pisywała do niego, Guy odpowiadał na jej listy. Wszelkie wymówki wypowiedziane zostały za pośrednictwem poczty, a ostatecznym skutkiem korespondencji było to, że ani jedna, ani druga strona nie szukała sposobności, ani też nie uczuwała potrzeby ponownego spotkania się. Był to kaprys pogrzebany... A jednak, kochali się tak bardzo!...

I oto nagle, niespodzianie, w taki mroźny poranek, Marjanna, drżąca od zimna, zjawia się w nowem jego mieszkaniu i siedząc spokojnie przed kominkiem, grzeje swe nóżki i różowy koniuszek zziębniętego noska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIŚMIENNICTWO.

(Ciąg dalszy.)

Co do pojęć państwowych, lud ruski, zdaniem pana M. D., nie posiadał żadnych, ani mu się śniło o państwie własnem, o separatyzmie, nie mniej wszakże przeto nienawidził panowania obcego, czy to moskiewskiego, czy polskiego. Pojęcia państwowe posiadali prowodyrowie, kozacy; lud prosty miał ciemne wyobrażenie o granicach narodowościowych, których nie kreśli „po Słucz,“ lecz „het aż za Wisłę“, dokąd jedna z pieśni wypędza Lachów, nie powiadając atoli, „jakie po wygnaniu Lachów być ma państwo ukraińskie.“ „Ukraińscy chłopi — słowa pana M. D. — w momentach nawet największych powstań swoich, nie chcieli jeno nad sobą panowania polskiego, o własne zaś, o państwo ukraińskie, nie chodziło im zgoła.“ — „Ta — powiada dalej — do polskiego państwa nienawiść popchnęła w swoim czasie Ukraińców do Moskwy, obecnie zaś zmusza ich trzymać się każdego na ziemi swojej państwa innego, byleby państwo to nie było polskiem.“ Apriorystyczne to zdanie popiera autor niechęcią, okazywaną jakoby przez lud ukraiński do powstań polskich, w latach 1831 i 1863. Dla dowiedzenia niechęci onej, przytacza autor ułomki pieśni, pochodzenia bardzo podejrzanego i następnie fakty wiązania panów i oddawania ich Moskalom, o których to faktów pochodzeniu przemilcza. A od tego właśnie istota i doniosłość onych zależy. Chłopi wiązali panów na rozkaz władz i to tam, gdzie powstania nie było; bywały zaś zdarzenia, że w obronie panów stawali. Zdarzeń takich mamy dwa. Kiedy pałac Brzozowskiego Karola otoczyła rota piechoty moskiewskiej, w celu aresztowania tego pana, chłopi z boku z cepami przybiegli, z zamiarem nie dania Moskalom Lacha. Zdarzenie drugie odnosi się do wspomnień naszych rodzinnych. Po powstaniu 1831 r., do Rybek, wioski na Pobereżu, trzymanej przez rodzica mego przez zastaw, zjechała na grunt komisja, celem przeprowadzenia śledztwa we względzie udziału, jaki ojciec mój w powstaniu wziął. Wezwano chłopów do przysięgi, i chłopi, którzy poświadomieni byli o wszystkiem, przysięgli, jako nic nie widzieli i o niczem nie słyszeli. Było więc tak i owak. Gdzie władza nalegała, lub też gdzie pan chłopom we znaki się dał, tam wiązali; gdzie zaś działo się przeciwnie, tam, bądź zachowywali się obojętnie, bądź nawet okazywali przychylność niedwuznaczną. W ogóle niechęć manifestowała się do osobistości, ale nie do powstania. Za wyraz ogólny usposobienia ich w odniesieniu do powstań polskich, tak r. 1831, jakoteż r. 1863, wziąć można słowa następujące: „Czyja prawda, niech temu pan Bóg pomaga.“ Powtarzały się one ustawicznie w ustach chłopów, znamionując neutralność ich, która kto wie, czy nie była przymusową w obec słabości powstań polskich. Ani w r. 1831, ani w 1863, Polacy nie rozwinęli na Rusi sił takich, któreby w chłopach ufność budziły — nie ustanowili rządu, nie mieli dla nich oręża, — nie mogli ich powołać do szeregów, pozostawiali ich na stronie i oni pomimo to, *nigdzie, przenigdzie, na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, z popędu własnego przeciwko powstaniom nie występowali*. Na rozkaz i pod dozorem władz moskiewskich, stawiali warty po kołowrotach i czynili obławy, które często przez palce patrzyły na przekradających się powstańców. *Ex propria diligentia* nie przedsiębrali niczego.

Autor przytacza wypadek w Sołowijówce (1863.) Żeby wypadek ten dowodzić miał nienawiści do powstań polskich i do polskiego panowania, na to dowieść by potrzeba, że nie był

on wyjątkowym i że nie było wypadków, nie głośnych, dla przyczyn panu M. D. bardzo dobrze wiadomych, dowodzących gorącego w Ukraińcach sprzyjania powstaniu. Czemu np., chłopi przepuścili oddział Rużyckiego Edmunda przez wojska moskiewskie obsaczony, przemykający się na koniach poodsednianych i całkowicie na ich pozostający łasce?.. czemu od oddziału tego przyjmowali i starannie chowali „złotą hramotę“?.. czemu o tem autor nasz ani wspomniał?

Ale oto, co w historyku dziwniejszem się jeszcze wyda, to poślizniecie się po fakcie, który, jeżeli się ma o usposobieniu chłopów ukraińskich mówić, usposobienie to zaznacza najdobitniej. Faktem tym był ruch na Ukrainie w r. 1855 — ruch samoistny, pod względem rozmiarów poważny, niesłychanie charakterystyczny i na wskróś polityczny. Pan M. D. wspomina o nim, ale jak. Oto zalicza takowy do buntów z racji poddaństwa i pańszczyzny, powiadając że należy on, wraz z buntem „w gubernii Woroneżskiej 1855 i Chersońskiej, 1856, jak się zdaje, do najznaczniejszych buntów w Rosji w XIX wieku.“ I tyle. I więcej nic. Nadto źródło cytuje fałszywie, wymieniając w odsyłaczu: „Czech, Lech a Rus“, powieść, utwór fantazji, nie mający najmniejszej z buntem ukraińskim styczności i „Powstanie ludowe na Ukrainie“, jako przedruk, o którym byśmy wiedzieli, gdyby istniał. Wiadomość o buncie owym, Moskale zacierać się starają — i nie dziw: świadczy ona, że na Rusi tlą iskierki w popiele, któreby Polacy rozdmuchać mogli, gdyby się jeno do rzeczy wziąć umieli; pan M. D. zaś dla tego chyba tylko tak ją zbył od niechcenia, że obala rusztowanie całe rozumowań, w książce jego zawartych. I w rzeczy samej. Jeżeli chłopi ukraińscy, w jedynym ruchu samoistnym, na jaki się w ciągu w. XIX zdobyli, do Lachów się zwrócili, to oni do Lachów nienawiści nie żywią. Nie — nie żywią. Niewola spólna rozbiła na pretensje osobiste niechęć ową, która powstała była z epoki wojen domowych XVII stulecia; zniesienie poddaństwa i usiłowania *abrusienja* Rusi zneutralizować ją musiały do reszty. Zdaje się nam, że rozdmuchiwanie onej za pomocą druhów ze Lwowa, czy z Genewy, czy zkąd bądź, przyda się jeno na to, ażeby wykazać, jak uczeni i nieuczeni autorowie, dmuchający w Kostomarowskie dudy, błędnie pojmują historję i potrzeby Rusi i nieznają usposobienia ludu.

Z. M.

(Dokończenie nastąpi.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Kraushar Aleks.* Olbracht Laski, Wojewoda sieradzki. Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI. wieku 2, tomy 8ka, str. 272, 300. Kraków 1882, 4 zł. 50 ct.

— *Majewski Erazm.* Systematyczny wykaz owadów żyłkoskrzydlnych polskich, u nas dotąd znalezionych, według układu Dra F. Brauera 8ka, str. 41. Warszawa 1881, 80 ct.

— *Mellerowa Zofia.* Dwie miary, komedja w jednym akcie 16ka, str. 90. Warszawa 1881, 55 ct.

— *Müldner Henryk.* Z nad brzegów morza północnego (Hamburg). Kąpiele morskie Westerland na wyspie Sylt. Wspomnienie z podróży odbytej w r. 1879. 8ka. str. 176, z illustracjami. Warszawa 1881. 90 ct.

— *Obojewicz Karol ksiądz.* Pijaństwo zguba ludzi na ciele i duszy. 8ka, str. 212. Warszawa 1881. 40 ct.

— *Olszewski Franciszek.* Policja lekarska w dawnej Polsce. 8ka, str. 78. Warszawa 1881. 96 ct.

— *Smoleński Władysław.* Szlachta w świetle opinii XVIII wieku. Studjum historyczne 8ka, str. 17. Warszawa 1881. 60 ct.

— *Synoradzki Michał Halina.* Księżna Milica. Powieść str. 265. Warszawa 1881. 1 zł. 50 ct.

— *Weitzenblut L.* Rys treściwy chorób kobiet łącznie z zasadami operacji położniczych w zastosowaniu do porodzeń oraz zboczeń i powikłań porodowych. 8ka, str. 282. Warszawa 1881. 3 zł.

— *Wywiałkowski Żegeta.* Słowniczek wyrażeń w zawodzie czcionkarstwa polskiego. Używanych i używać się mających. 8ka, str. 27. Warszawa 1881. 23 ct.

— *Wyznania świętego* Augustyna, przełożył z łacińskiego Michał Bolun Szynko. 8ka, str. 361. Wilno 1881. 1 zł. 50 ct.

— *Z pamiętnika* dyletanta. Obrazki humorystyczne wydał Muzyk. 8ka, str. 146. Warszawa 1881. 90 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Kurjer paryski,* którego dotąd wyszło 4 numera został w Austrji zakazanym. Niedawno dzienniki nasze właśnie z okazji pojawienia się *Kurjera paryskiego* pisały, że polskie pismo po za granicami kraju jest niepotrzebne, ponieważ posiadamy w Austrji wolność prasy.

*** Zapowiedziany *Tygodnik paryski* nieprzyjdzie do skutku, ponieważ wydawcy niechcąc rozrywać sił i robić konkurencji *Kurjerowi paryskiemu* odstąpili od swego zamiaru wydawnictwa.

*** Znakomity nasz publicysta Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż) będzie miał w rocznicę listopadowego powstania mowę w Paryżu na obchodzie emigracyjnym.

*** Pani Lucyna Cwierczakiewicz, znana autorka książki kucharskiej p. t. „365 obiadów“, które to dzieło wyszło już w dwunastu wydaniach, — jak lat poprzednich tak i w tym roku wydała *Kolędę dla gospodyń,* czyli kalendarz na rok 1882, zawierający oprócz części kalendarzowej bardzo obfite rady dla gospodyń tak pod względem kuchni jak i przyrządzania i przechowywania zapasów spiżarnianych, oraz w innych kwestjach gospodarskich. Kalendarz p. Cwierczakiewiczowej zawiera także dział literacki (132 str.) wyłącznie poświęcony płci pięknej.

*** Wł. Syrokomli *Starosta Kopanicki,* więzień w Sonnenburgu. Ustęp z pierwszych lat panowania Augusta III. Poemat historyczny. Opuścił prasę jako 139 tomik Bibljoteki Mrówki, w taniej 20 centowej edycji.

*** W Paryżu wyszło w tych czasach dzieło, jakiem podobnem mało który naród pochlubić się może...

Tytuł jego: »*Grand dictionnaire universel du XIX siècle*« a autorem, albo raczej redaktorem: Piotr Larousse.

Ponieważ dzieło to, odbijając w sobie między innemi cały umysłowy ruch świata, bardzo szeroko i wyczerpująco uwzględnia nasze stosunki, — rzecz dziś rzadka u Francuzów, słynących z niewiadomości tego wszystkiego, co się poza krańcami ich ojczyzny dzieje, przeto nie od rzeczy będzie podać o niem wieść ogółowi.

Dzieło to, można nazwać encynklopedją-olbrzymem i rzeczywiście na to miano w zupełności ono zasługuje.

Wyobraźcie sobie 16 wielkich tomów, zadrukowanych w 4 kolumny na stronnicy, petitem tak drobnym, że najmniej 16,000 liter znajduje się na jednej stronie, dodajcie do tego, że każdy tom liczy 1,500 stronnic, a będziecie mieli przybliżone wyobrażenie o całości...

Jestto doprawdy coś tak kolosalnego, że nietylko się wierzyć nie chce, aby to napisanem być mogło, ale aby zecerzy jakiejkolwiek drukarni byli w stanie coś podobnego złożyć i wydrukować!

Tytuł dzieła wskazuje, że jest ono encyklopedją tylko 19 wieku, ale tytuł się myli; jestto zbiornik ogólny wiadomości powszechnych wszystkich ludów i wszystkich czasów, począwszy od abecadła a skończywszy na... telegrafach klawiszowych.

Mając takie jedno dzieło w swojej bibljotece, można bez posądzenia o zarozumiałość utrzymywać, że się prawie całą wiedzę ludzką pisaną trzyma pod kluczem...

Powiedzieliśmy wyżej, że dzieło to dla nas przedstawia ten interes, iż daje dokładne i bezstronne wyobrażenie o naszym kraju i naszych zasłużonych mężach.

Prawie żaden król, bohater, artysta lub uczony polski nie jest tu pominięty, a przestawienie każdego z nich działalności jest zupełnie z prawdą zgodne.

Z każdego też w tym względzie artykułu wieje bezstronność i sumienność zadziwiająca.

Weźmy np. artykuł: »*Pologne*«.

Artykuł ten ze względu rozmiarów swoich, stanowić mógłby dość obszerny tom, a co do treści obejmuje wszystko to, co Francuz o naszym kraju wiedzieć powinien.

I tak: przedewszystkiem, znajdujemy w nim wiadomość z geologji, orografji, klimatologji, flory i fauny naszej ziemi.

Dalej idzie dział historyczny, szczególniej uwzględniający wiek XIX.

Dalej znów rzecz o języku, religij, literaturze, archeologji i sztukach pięknych.

A wszystko to przedstawione tak gruntownie i tak sympatycznie, że czytałoby się bez końca...

Nie przesadzając bynajmniej, powiedzieć można, iż podobnego o nas artykułu w żadnej największej polskiej encyklopedji nie ma.

A w podobny, jak my sposób, opracowane są wszystkie narody, z wyjątkiem Francji, która w dziele zajmuje wyjątkowo obszerne stanowisko.

Powtarzamy: „Encyklopedja“ p. Larousse jest zjawiskiem w dziejach literackich dzisiejszych czasów i zasługuje najzupełniej na to, aby we wszystkich większych krajowych bibljotekach znalazła pomieszczenie.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.